

Tryumf
pana
Kleksa

Jan Brzechwa

Tryumf
pana
Klekksa



Wydawnictwo Skrzat
Kraków

Ptasia historia

Akademię pana Kleksa ukończyło w tym roku trzech Aleksandrów, dwóch Anastazych, czterech Albinów, dwóch Agenorów, trzech Aleksych, jeden Andrzej, jeden Apolinary i ja. Razem było nas siedemnastu.

Wręczając nam dyplomy, pan Kleks na każdym z nich kładł swój podpis, ozdobiony wszelkimi możliwymi zakrętami i zawijasami, jakie tylko zdołała wymyślić kaligrafia na przestrzeni wieków.

Po wspólnym uroczystym obiedzie odśpiewaliśmy chórem hymn Akademii, po czym pan Kleks, stojąc swoim zwyczajem na jednej nodze, wygłosił do nas pożegnalne przemówienie. Wryło się ono w moją pamięć na całe życie.

– Moi drodzy – powiedział pan Kleks – po latach ogromnych wysiłków nappełniłem wasze puste głowy mądrością, o której w innych uczelniach nikomu nawet się nie śni. Wiecie, że wynalazłem własną metodę wlewania oleju do głowy. Dzięki temu wam, którzy przybyliście do mojej Akademii jako kapuściane głowy, zdołałem zaszczepić wiele rzadkich umiejętności i z nieuków uczyniłem młodych uczonych. Wzmocniłem też waszą pamięć za pomocą soku malinowego i nalewki na piegach. Mam więc nadzieję, że potrafcie przekazać zdobytą wiedzę następnym pokoleniom i rozśławić moją Akademię na cały świat. Każdy z was pójdzie odtąd własną drogą, a ja... Ja muszę udać się do krainy, która na mojej mapie figuruje jako Alamakota. O ile pamiętacie, utknęli tam przed laty bajdoccy żeglarze. Obowiązek nakazuje mi ich odszukać. Żegnam was, moi drodzy! Pa-ram-pam-pam! Pa-ram-pam-pam!

Po tych słowach pan Kleks wyduł policzki i na połącz surduta uniósł się w powietrze, jak to czynił zwykle, gdy zamierzał wyruszyć w podróż. Przez



chwilę krążył jeszcze ponad naszymi głowami, po czym wymknął się przez okno, wzbil w górę i odpłynął w kierunku południowo-wschodnim. Jego rozwiana broda pozostawiała za sobą jasną smugę, a okulary posyłały nam pożegnalne migotliwe „zajączki”. Długo jeszcze widzieliśmy w oddali ulatującą postać ukochanego profesora, która z minuty na minutę stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła nam z oczu.

Pożegnałem kolegów, spakowałem zeszyty, galowe lampasy do spodni oraz kilka drobnych sekretów,

które wygrałem od pana Kleksa w „trzy wiewiórki”, i radośnie pomknąłem do domu na ulicę Korsarza Palemona.

Mieszkanie rodziców zastałem jednak zamknięte.

Stary dozorca Weronik dostał na mój widok długotrwałej czkawki. Niegdyś nazywał się po prostu Franciszek, ale kilka lat temu przyjął imię po swojej zmarłej żonie Weronice. Tak bardzo ją kochał, iż pragnął w ten sposób utrwalić jej pamięć wśród lokatorów.

Czekałem jakiś czas, aż minie mu atak czkawki, w końcu zniecierpliwiony uderzyłem go kilkakrotnie w plecy tobołkiem z książkami. Weronik parsknął, wykonał parę przysiadów i oświadczył tajemniczo:

– Pan Niezgódka, czyli pański ojciec, na wiosnę tego roku zmienił się w szpaka i wyfrunął z domu. Nawet nie zatrzepotał na pożegnanie. Wyfrunął i tyleśmy go widzieli. A pani starsza włożyła kapelusz z kwiatkami, wzięła pod pachę elektroluks i poszła do lasu robić porządki. Wszystko to stało

się z powodu paczki, którą przyniósł listonosz. Bo jak tylko listonosz wsiadł na rower i odjechał, pan Niezgódka zaraz wyfrunął.

Wiedziałem, że Weronik jest dziwak i że po śmierci żony zdziwaczał jeszcze bardziej, toteż nie wdawałem się z nim w dalsze rozmowy, lecz wzięłem klucz i wszedłem do mieszkania. Zastałem w nim straszliwy nieład. Wszędzie pełno było damskich kapeluszy, wstążek i sztucznych kwiatów. W kuchni piętrzyły się niezmyte naczynia, a w jadalni z żyrandola zwisały wianki suszonych grzybów, przeważnie muchomorów. Pod nogami chrzęściły rozsypane ziarna, używane do karmienia kanarków. W gabinecie ojca na biurku, na szafach, na etażerkach poustawiane były rozmaite wypchane ptaki. Ptasie pióra wały się po podłodze, a kolorowy puch unosił się w powietrzu.

Zauważyłem już w dzieciństwie, że ojciec miał w twarzy coś ptasiego. Teraz mogłem stwierdzić, że głowy wypchanych ptaków dziwnie przypominają mi twarz ojca. Kiedy zaś wzięłem się do sprzątnia i całą tę ptasią kolekcję wyniosłem na balkon,



zielona papuga, którą nieostrożnie przydepnąłem, wydała skrzeczący dźwięk, do złudzenia przypominający głos mego kochanego ojca.

Uwijałem się do późnego wieczora, żeby mieszkanie jako tako doprowadzić do porządku. Następnie wszystkie pokoje pozamykałem na klucz, zachowując dla siebie jedynie gabinet. Przemeblowałem go, wyniosłem zbędne sprzęty, a także wszystkie książki, jako że ojciec zbierał wyłącznie oprawy, usuwając z nich za pomocą brzytwy zadrukowane strony. Za to wszystkie tytuły wyciśnięte na grzbietach umiał na pamięć. Treść książek wymyślał i pisał sobie sam, według własnego upodobania, a po skończonej pracy stosy zapisanych kartek wrzucał do pieca. Kiedy zaś później zachodziła potrzeba, pisał książkę na nowo, za każdym razem inaczej.

Na szafie postawiłem wypchanego sokoła i włożyłem mu na dziób okulary, żeby mi przypominał mego ukochanego ojca. Nakręciłem też wszystkie zegary i każdy nastawiłem na inną godzinę. Po prostu nie chciałem przeszkadzać sobie w pracy obserwowaniem czasu.

Wreszcie na drzwiach przytwierdziłem tabliczkę, na której widniał napis:

ADAM NIEZGÓDKA
Absolwent Akademii Ambrożego Kleksa
Doktor Filologii Zwierzęcej

Tak, tak, moi drodzy! Był to pracowity dzień, pełen przeżyć i niespodzianek.

Gdy jeden z zegarów wskazywał północ i wypchana kukułka, naśladując głos mego ojca, zakukała dwanaście razy, położyłem się spać. Ojciec w latach mego dzieciństwa zawsze wieczorem otulał mnie kołdrą i kukał na dobranoc. Tej nocy śnił mi się Weronik fruający na uskrzydłonym elektroluksie, ale do snu tego nie przywiązywałem większej wagi.

Nazajutrz, nie tracąc czasu, zabrałem się do moich zajęć. Od kilku lat prowadziłem studia nad żabim językiem i miałem na ukończeniu słownik porównawczy żabich gwar w jeziorach i w stawach. Nadto na zamówienie Instytutu Spraw Zmysłowych podjąłem się opracowania odmiennych zasad

wymowy psiego „hau” i kociego „miau” w dwudziestu sześciu językach i narzeczach Dalekiego Wschodu. Nie będę również taił, że od dawna już głowiłem się nad transkrypcją bzykania komarów na chór i orkiestrę dętą, gdyż bardzo kocham muzykę, zwłaszcza różne pa-ram-pam-pam oraz pi-lim-pim-pim znane mi z Akademii pana Kleksa.

W chwili gdy byłem pogrążony w rozmyśleniach, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Pobiegłem do przedpokoju w nadziei, że to może rodzice. Tymczasem na progu ukazał się listonosz, a za nim Weronik. Musiał być bardzo przejęty, gdyż znowu miał atak czkawki.

Listonosz urzędowym ruchem podał mi paczkę i powiedział tylko jedno słowo:

– Pokwitować.

Pokwitowałem. A ponieważ nie miałem drobnych, ofiarowałem mu wypchanego drozda.

Listonosz na chwilę się ożywił i rzekł:

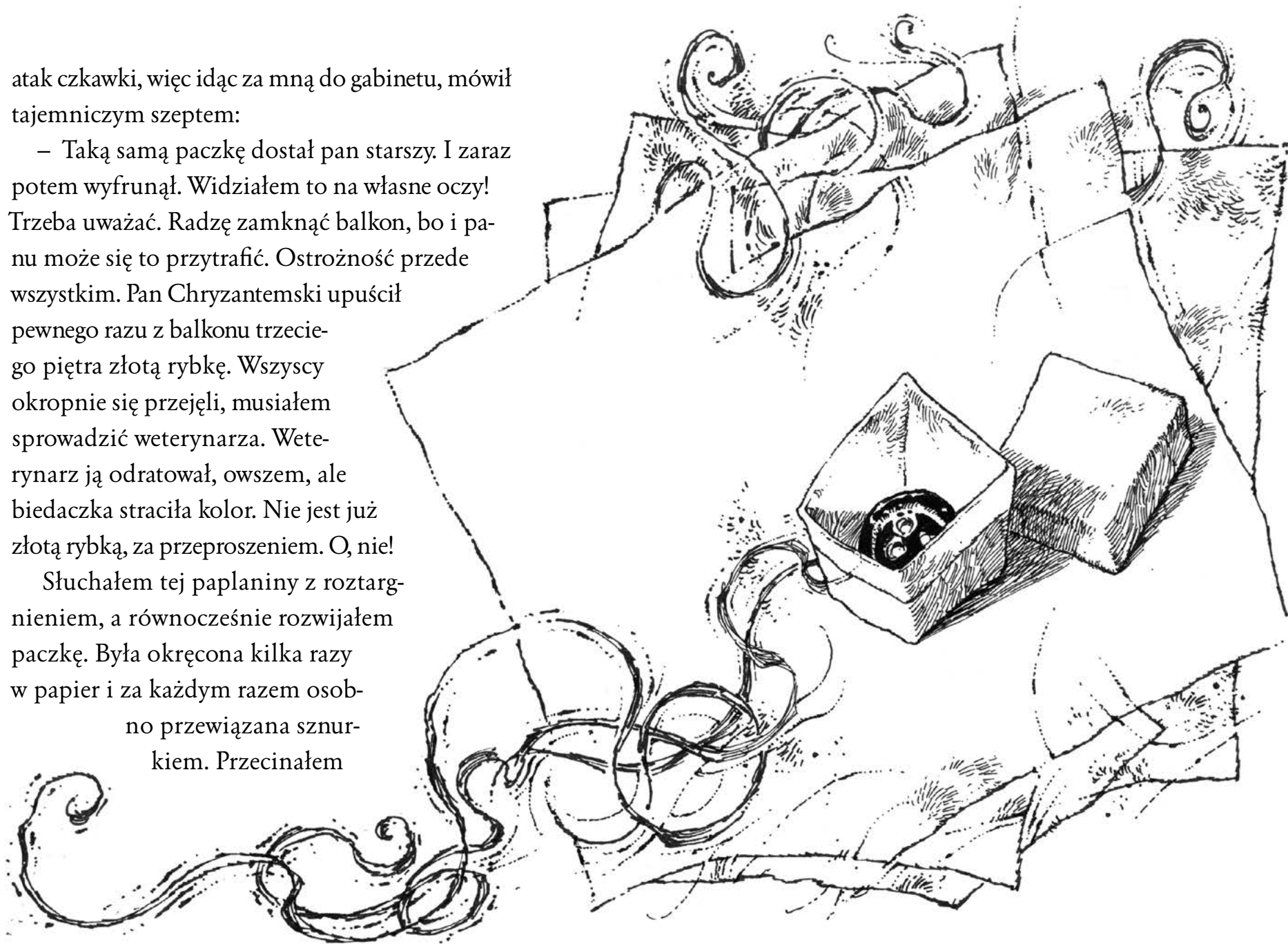
– A nie ma pan przypadkiem szpaka?

I nie czekając na odpowiedź, zbiegł beztrąsko po schodach. Ale Weronik został. Minął mu już

atak czkawki, więc idąc za mną do gabinetu, mówił tajemniczym szeptem:

– Taką samą paczkę dostał pan starszy. I zaraz potem wyfrunął. Widziałem to na własne oczy! Trzeba uważać. Radzę zamknąć balkon, bo i panu może się to przytrafić. Ostrożność przede wszystkim. Pan Chryzantemski upuścił pewnego razu z balkonu trzeciego piętra złotą rybkę. Wszyscy okropnie się przejęli, musiałem sprowadzić weterynarza. Weterynarz ją odratował, owszem, ale biedaczka straciła kolor. Nie jest już złotą rybką, za przeproszeniem. O, nie!

Słuchałem tej paplaniny z roztargnieniem, a równocześnie rozwijałem paczkę. Była okręcona kilka razy w papier i za każdym razem osobno przewiązana sznurkiem. Przecinałem



sznurki, zdzierałem papier, aż wreszcie pozostało mi w rękach małe drewniane pudełeczko.

Weronik przylgnął twarzą do mego ramienia. Z ciekawości zaniemówił i w milczeniu chuchał na mnie piwem.

Ostrożnie otworzyłem pudełeczko. Wewnątrz leżał guzik. Duży czarny guzik. Natychmiast odżyła mi w pamięci opowieść szpaka Mateusza o guziku od cudownej czapki bogdychanów.

Pamiętacie chyba tę osobliwą historię przemiany księcia w szpaka, historię, która przed dziesięciu laty obiegła cały świat. A więc wszystko stało się teraz jasne i zrozumiałe, zwłaszcza gdy odczytałem włożoną do pudełeczka kartkę. Wypisane były na niej słowa następujące: „Zwracam tę błahostkę, którą znalazłem w basenie fontanny. Alojzy B”.

No tak! Oczywiście! Ojciec niebacznie przekreślił podesłany mu podstępnie guzik i zamienił się w szpaka. A potem wyfrunął i niechący upuścił guzik do fontanny. Dlatego nie mógł już odzyskać swej normalnej postaci. Matka zaś poszła do lasu

na poszukiwanie ojca i zabrała z sobą elektroluks, żeby bronić go przed drapieżnikami. Pamiętała, że nasz kot Hieronim na widok elektroluksu z przerażenia prychnął i uciekał na dach.

Kochana matka! Zawsze była kobietą dzielną i nieustraszoną. Podczas burzy, na przykład, nad głowę ojca trzymała na kształt piorunochronu szpilkę od kapelusza. A kiedy było ślisko, sypała przed nim kaszę jaglaną, żeby się nie przewrócił. Zresztą do niczego innego kasza ta się nie nadaje, gdyż nikt z nas w domu jej nie jada. Także i tym razem matka poszła za ojcem uzbrojona w elektroluks. Wprawdzie w lesie na ogół trudno znaleźć źródło prądu do elektroluksu, ale znając matkę, wiedziałem, że raczej sama zamieni się w akumulator, niż miałyby opuścić ojca w niebezpieczeństwie.

– Taki sam guzik dostał pan starszy w poprzedniej paczce – powiedział Weronik. – A ten to jest pewno do pary. Trzeba uważać. W guziku może być trucizna albo dynamit.

Mówiąc te słowa, Weronik nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy. Gdy bowiem raz jeszcze spojrzałem na kartkę i zobaczyłem podpis „Alojzy B”, od razu rozjaśniło mi się w głowie.

Oczywiście, Alojzy B. – to Alojzy Bąbel, nadzwyczajny twór pana Kleksa, sztuczny, zmechanizowany człowiek, który wymknął się spod władzy swego konstruktora i stał się nieobliczalny. A teraz mści się na mnie i na mojej rodzinie za to, że go kilkakrotnie zdemaskowałem. Alojzy Bąbel posiadał bowiem zdumiewającą zdolność podszywania się pod innych ludzi i tylko ja jeden umiałem go z miejsca rozpoznać.

Podobnie i teraz zjawił się jako fałszywy listonosz. Naprzód przyniósł guzik od czapki bogdychanów memu ojcu i ściągnął na niego fatalną przemianę w ptaka, a obecnie podsunął guzik mnie, aby ze mną stało się to samo. Wybiegłem na balkon i rzeczywiście w oddali, na końcu ulicy, dostrzegłem Alojzego zmykającego na rowerze, który, o ile zdołałem rozpoznać, przerobiony był z okularów mego ojca.



– Panie Weroniku – zawołałem z rozpaczą – musimy zacząć działać! Ojciec ma taką krótką pamięć, że nawet kiedy był jeszcze sobą, zapominał często, gdzie mieszka, i matka musiała wysyłać po niego kota Hieronima. A teraz, odkąd obudziły się w nim ptasie instynkty, nie wróci już z całą pewnością.

– Może by znowu wysłać Hieronima po pana starszego? – powiedział niepewnie Weronik.

– Co za pomysł! – obruszyłem się na starego dozorcę. – Kota wysyłać po ptaka? Nie, panie Weroniku! Musimy sami udać się na poszukiwania.

Weronik uśmiechnął się z politowaniem i rzekł:

– Na świecie jest ptaków 17 583 499 537. Na to, żeby odnaleźć wśród nich pana starszego, trzeba byłoby szukać 17 537 lat. Trochę za dużo. Odpada.

Po tych słowach Weronik wyszedł na balkon. W zamyśleniu zaczął z wolna obskubywać wypchane ptaki i rzucać pióra na wiatr.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie pójść w ślady ojca i nie zamienić się za pomocą guzika w ptaka, co ułatwiłoby mi poszukiwanie rodziców.

Zachodziła jednak obawa, że mogę przemienić się, dajmy na to, w indyka albo koguta, które także należą do gatunku ptaków, ale nie umieją fruwać, jak należy. Z takiej przemiany nie odniósłbym oczywiście żadnego pożytku. A co gorsza, nie miałem pewności, czy zdołam później odzyskać swój obecny kształt. Natomiast pozostawanie przez resztę życia wśród kur i indyczek, pomimo że studiowałem ich gwary, nie wydawało mi się karierą godną uczonego.

Po rozważeniu tych wątpliwości zamknąłem guzik w szufladzie biurka, klucz zaś wyrzuciłem

przez okno, żeby nie mieć pokusy i nie móc przypadkiem przez sen sięgnąć do szuflady, gdyż jak wiadomo, w snach dzieją się nieraz różne dziwne rzeczy niezależnie od naszej woli.

Przez ten czas Weronik zdążył już oskubać większość wypchanych ptaków i nad ulicą unosiła się chmura kolorowych piórek. Ludzie powychodzili na balkony i spoglądali w niebo, sądząc, że to pada pierzasty deszcz, a niektórzy wystawili wiadra, żeby nałapać tej kolorowej deszczówki do mycia głowy.

– Panie Weroniku! – zawołałem zniecierpliwiony. – Dostyc tej zabawy! Oskubał pan wszystkie ulubione ptaki mego ojca, a na domiar złego narobił pan takiego deszczu z piór, że nawet najmądrzejszy szpak musi stracić orientację. Nie tylko moi rodzice, ale nikt w mieście nie potrafi już rozpoznać ulicy Korsarza Palemona.

Weronik zaczerwienił się i zagryzł wargę, żeby powstrzymać czkawkę. Jego łysą głowę okalał puch siwych włosów. Gdyby zapuścił brodę, stałby się podobny do Świętego Mikołaja. Miał na sobie wytarty serdak, płócienne błękitne spodnie i stare



żołnierskie kamasze, zasnurowane drutem telefonicznym.

– Panie Weroniku – ciągnąłem po chwili złamanym głosem – jest tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby pomóc. Tym człowiekiem jest profesor Ambroży Kleks.

– No to leć pan do niego! – zawołał stary dozorca i zatrzepotał rękami.

– Niestety! – odrzekłem z westchnieniem. – Pan Ambroży Kleks właśnie wczoraj wyprawił się do Alamakoty. Muszę natychmiast wyruszyć w podróż. Muszę gonić pana Kleksa. Szkoda, że Hieronim gdzieś się zapodział, bo mógłby mi towarzyszyć. Przykra to rzecz podróżować samotnie.

– E tam! – zauważył Weronik. – Z kota pożytek niewielki. Lepszy byłby już pies albo koń.

– Panie Weroniku – powiedziałem nieśmiało – a może by tak pan?... Co?... Na stare lata przydałoby się panu przewietrzyć. Mam trochę oszczędności, wystarczy na dwóch.

Weronikowi zaświeciły się oczy, ale po chwili zgasły.

– Jestem dozorcą z dziada pradziada – oświadczył z godnością. – Nie zostawię domu bez opieki.

– A czy nie mógłby ktoś pana zastąpić?

– Mnie? Zastąpić? – obruszył się Weronik. – Ja, panie, pięćdziesiąt lat wytrzymałem na stanowisku. Znam każdą szparę w tym domu! Każdą mysz! Każdą stonogę! Mnie – zastąpić! Coś podobnego! Zaraz... Zaraz... Chwileczkę... Gdyby pan Chryzantemski się zgodził, jemu jednemu mógłbym zaufać. Tak! To jest myśl! Pan Chryzantemski!

Po tych słowach Weronik pokiwał do mnie porozumiewawczo kciukiem prawej ręki i wybiegł z mieszkania.

Zrozumiałem, że poczciwy, szlachetny dozorca nie opuści mnie w nieszczęściu. Przyniosłem z komórki kufer i zabrałem się do pakowania. Kolejno układałem w kufierku: nieprzemakalny kombinezon, trochę bielizny, wysokogórskie buty, tropikalny hełm, płetwy do nurkowania, harpun myśliwski, niezbędne narzędzia, a nadto globus, kompas, latarkę elektryczną, cukier w kostkach i na koniec – wypchanego sokoła.

W chwili gdy kończyłem pakowanie, ktoś zadzwonił do drzwi. Był to ten sam listonosz, który rano przyniósł paczkę. Wręczył mi klucz ze słowami:

– To od biurka szanownego pana. Wypadł panu przez okno na ulicę...

Złapałem go za klapę marynarki i zawołałem:

– Alojzy, to ty! Poznaję cię! Teraz rozprawię się z tobą, nicponiu!

Zanim jednak zdążyłem dokończyć zdanie, Alojzy szarpnął się, zostawiając w mojej zaciśniętej dłoni odprutą klapę, i błyskawicznie zjechał po poręczy schodów na dół.

– Ręka za krótka, panie Niezgódka! – krzyknął, znikając w kolorowej zamieci piór.

Weronik, słysząc wrzawę na schodach, zjawił się natychmiast, ale nie był sam. Był w towarzystwie pana Chryzantemskiego.

– Załatwione! – powiedział. – Jadę z panem!

Zauważyłem, że pan Chryzantemski miał już na sobie serdak Weronika, stanowiący widocznie oznakę dozorcowskiej władzy.

– Ruszamy! – rzekłem zdławionym głosem. – Ale musimy na każdym kroku wystrzegać się Alojzego Bąbla. Pan go jeszcze nie zna. Niech pan jednak zapamięta to imię: Alojzy Bąbel!

– Alojzy Bąbel – powtórzył posłusznie Weronik.

Niebawem szliśmy w kierunku portu. Pan Chryzantemski postanowił nas odprowadzić i teraz pchał wózek, na którym znajdował się mój kuferek, plecak Weronika oraz obie nasze teczki, jako że bez teczek ludzie przyzwoici nie podróżują.

W porcie oczekiwało mnóstwo rozmaitych statków, a ich kapitanowie głośnie nawizywaniem zapraszali pasażerów:

– Panie! Panowie! Kto do Wschodniej Rododindii? Kto do Wybrzeża Kabanosów? Dzisiaj ostatni rejs do Północnej Kalafonii!

– Kto do Zachodnich Rajstopów? Proszę wsiadać!

– Za godzinę odjazd do Południowych Bryndz!

– Kto na Wyspy Remanentów? Tylko u mnie tanio i bezpiecznie!

– Kto chce polować na krokodyle? Mam jeszcze jedną kajutę do Przylądka Kości Szpikowej! Tanio i wygodnie! Dzieci płacą połowę!

Wybraliśmy statek, który płynął na południowy wschód, gdyż ten właśnie kierunek obrał pan Kleks, wyruszając do Alamakoty.

Statek nazywał się „Płetwa Rekina” i służył do przewożenia rozmaitych ładunków, ale w trzech kajutach mógł pomieścić siedmiu pasażerów. Kapitan, stary wilk morski, nic nie słyszał o Alamakocie. Zresztą nie mógł słyszeć, gdyż był głuchy jak pień.

Mieliśmy kajutę przytulną, chociaż ciasną. Weronik, wierny powołaniu wytrawnego dozorca, przystąpił natychmiast do pucowania wszystkich części metalowych oraz szyby okrągłego okienka. Dwie pozostałe kajuty zajmował pewien hodowca róż, pan Lewkonik, z pięcioma córkami. Wybrał się z nimi w podróż, gdyż każdą z nich postanowił wydać za mąż za ogrodnika innego kraju. Pan Lewkonik był bardzo gruby i miał tak wielki brzuch,

że gdy siadał do stołu, nie mógł dosięgnąć talerza i dlatego nigdy nie najadał się do syta. Córki pana Lewkonika nie odznaczały się urodą, ale ich ojciec twierdził, że ogrodnicy nie muszą szukać u żon piękności, albowiem mają jej pod dostatkiem w kwiatach.

Całe dni spędzaliśmy na pokładzie, korzystając ze słońca i pogody. Morze było spokojne, niebo bezchmurne. Marynarze grali w kości albo spali na swoich kojach, czuwał tylko sternik. Natomiast kapitan, siedząc na zwoju lin, rozwiązywał krzyżówki i raz po raz wołał do nas rozkazującym głosem:

– Rzeka na siedem liter! Hej tam... Wódz Indian, zaczyna się na „M”!... Miasto w Azji: „o” w środku, „o” na końcu! Hej!... Używa się do lania, dziewięć liter wspak! Hej!

Żadna jednak z naszych odpowiedzi nie docierała do kapitana, gdyż jak wspominałem, był on kompletnie głuchy. Dlatego też po pewnym czasie zorganizowaliśmy pocztę łańcuszkową. Przekazywaliśmy kartki z rąk do rąk i przesyłaliśmy kapitanowi odpowiedzi na piśmie.

Pan Lewkonik zakasał rękawy, włożył na głowę niebieski melonik, który miał go chronić od słońca, i zabrał się do sadzenia róż na pokładzie. Pomimo że był bardzo gruby, poruszał się z lekkością balonika. Ułożyłem nawet o nim piosenkę, a śpiewaliśmy ją wszyscy chórem:

Nasz pan Lewkonik

Włożył melonik

I wyhodował róże.

Nasz pan Lewkonik

Tak jak balonik

Unosi się ku górze.

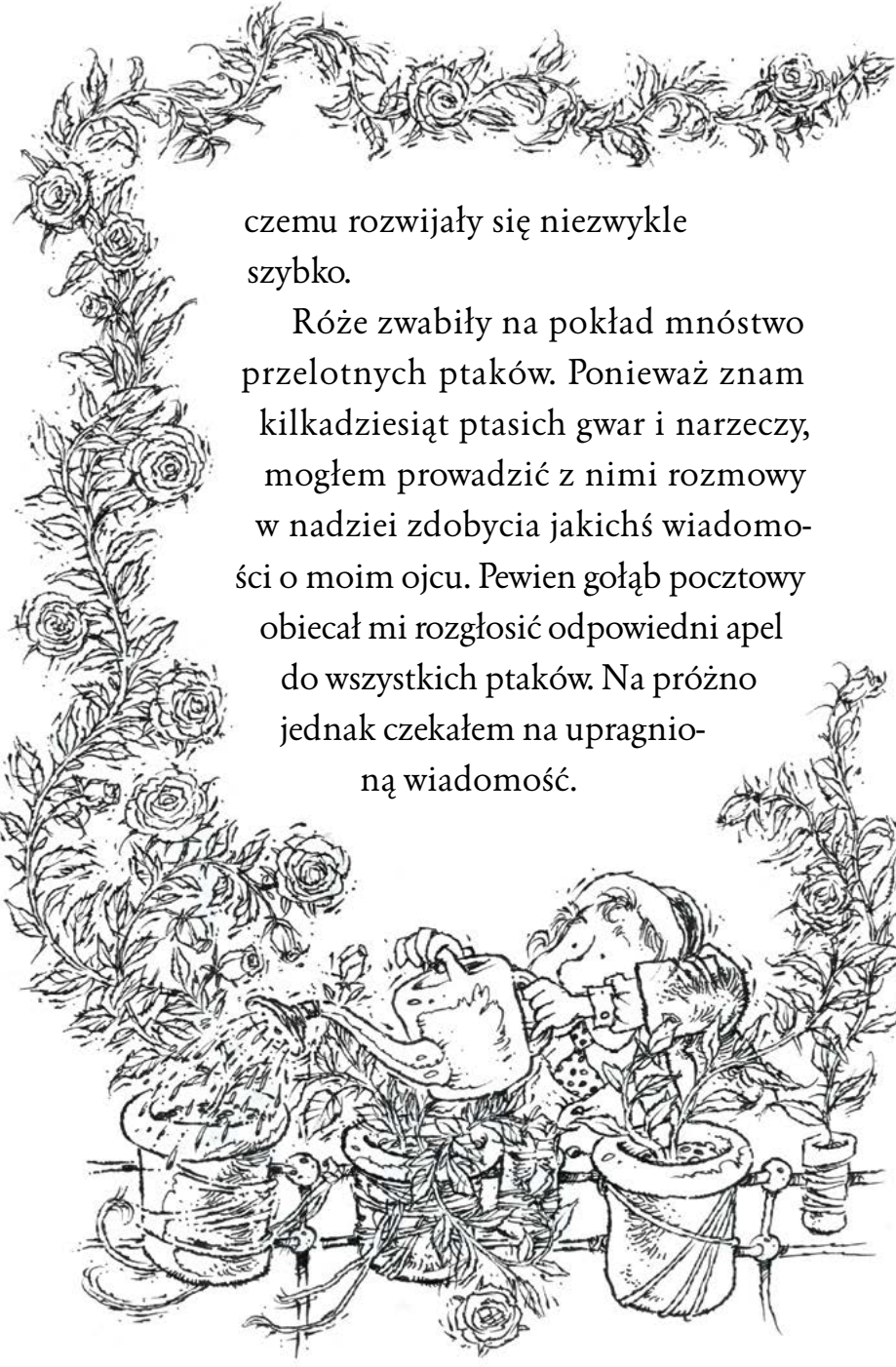
Kto ma wazonik,

Dostanie róży kwiat,

A pan Lewkonik

W daleki ruszy świat.

I rzeczywiście już po paru dniach w skrzyniach ustawionych wzdłuż burty rozkwitły różne odmiany róż. Córki pana Lewkonika podlewały je stale specjalnym przyspieszającym płynem, dzięki



czemu rozwijały się niezwykle szybko.

Róże zwabiły na pokład mnóstwo przelotnych ptaków. Ponieważ znam kilkadziesiąt ptasich gwar i narzeczy, mogłem prowadzić z nimi rozmowy w nadziei zdobycia jakichś wiadomości o moim ojcu. Pewien gołąb pocztowy obiecał mi rozgłosić odpowiedni apel do wszystkich ptaków. Na próżno jednak czekałem na upragnioną wiadomość.

Pod wieczór trzeciego dnia przybiegł do mnie zdyszany Weronik, wołając z daleka:

– Jest! Jest! Panie Adasiu, jest pan Niezgódka!

Z biciem serca pomknąłem we wskazanym kierunku. Na dziobie statku istotnie siedział szpak. Gadający szpak. Od razu jednak zorientowałem się, że nie jest to mój ojciec. Szpak mówił bowiem po francusku, a ojciec żywił zawsze niechęć do języków obcych. Cóż, Weronik miał rację. Wśród miliardów ptaków trudno trafić na właściwego.

W końcu jednak udało mi się od pewnego kolibra uzyskać bezcenną wiadomość. Okazało się bowiem, że był on już poprzednio w Alamakocie i może nam wskazać drogę do tego kraju. Wtajemniczyłem przeto pana Lewkonika w moje kłopoty oraz wyjawilem cel podróży. Po naradzie postanowiliśmy wspólnymi siłami nakłonić kapitana, aby zboczył z wytkniętego kursu i zawinął do Alamakoty. Panu Lewkonikowi opisałem Alamakotańczyków w nader zachęcających barwach i zapewniłem go, że jest to naród zakochany w kwiatach. Powiedziałem też mimochodem:

– Alamakotańscy ogrodnicy mają tylko jedną słabość: żenią się najchętniej z cudzoziemkami.

Ta uwaga podziałała na pana Lewkonika jak prąd elektryczny. Podskoczył kilkakrotnie do góry, nacisnął brodawkę na nosie jak guzik dzwonka i z lekkością balonika potoczył się do kapitana.

Wspomniałem już, że pan Lewkonik miał pięć niezbyt ładnych córek. Aczkolwiek był hodowcą róż, tylko najstarsza córka miała na imię Róża. Cztery pozostałe nosiły imiona: Dalia, Hortensja, Rezeda i Piwonia. Polubiłem te dziewczęta, a na-



wet wkrótce przyzwyczałem się do ich brzydoty. Powiem więcej: z dnia na dzień podobały mi się coraz bardziej. Zwłaszcza Rezeda.

Ale myśli moje zajęte były głównie losem biednych rodziców. Nie schodziłem z pokładu, żeby nie stracić kontaktu z kolibrem, który obiecał służyć nam za przewodnika. Chcąc pozyskać jego względy, śpiewałem mu piosenki drozdów, rudzików, kosów i sikorek, a pewnego razu zaświergotałem jak strzyżyk woleoczko. Dopiero wtedy koliber nabrał do mnie takiego zaufania, że gotów był uwierzyć, iż jestem ptakiem.

Gdy tak sobie ćwierkałem, na pokładzie ukazał się Weronik. Zalatywało od niego sidolem i amoniakiem, gdyż z zamiłowania do porządku polerował okrętowe poręcze oraz wszystkie części metalowe. Zbliżył się do mnie i powiedział tajemniczo:

– Załatwione. Pan Lewkonik urobił kapitana. Płyniemy do Alamakoty.

W tej samej chwili rozległ się tubalny głos kapitana:

– Wszyscy na stanowiska! Kurs na południowy wschód!

Spojrzałem na dziobek kolibra i podałem kapitanowi dokładny kierunek.

– Pełna szybkość! – wrzasnął kapitan. – Przeciąć zwrotnik Raka! Ster w lewo!

„Płetwa Rekina” zwinnie pomknęła naprzód, prując fale i roztrącając delfiny. Koliber odlatywał co pewien czas na rekonesans, po czym wracał na swoje miejsce, aby cienkim, ostrym dziobkiem jak igłą kompasu wskazywać drogę. Podzwrotnikowe słońce prażyło niemiłosiernie.

Po pięciu dniach w oddali ukazały się zamglone zarysy lądu.

Zbliżaliśmy się do Alamakoty.

Alamakota

Dziwi was pewno, że w poprzednim rozdziale pan Kleks pojawił się tylko przez krótką chwilę, na samym początku, a potem cały czas był nieobecny. Zdziwienie wasze jest całkiem uzasadnione, gdyż pan Kleks, jako główny bohater tej książki, powinien być, prawdę mówiąc, stale na miejscu. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że uczony udał się do Alamakoty, która leży bardzo daleko, musieliśmy więc odbyć długą podróż po to, żeby nawiązać z nim kontakt.

Szliśmy z portu całą gromadą i spotkaliśmy pana Kleksa zupełnie przypadkowo, kiedy zjeżdżał na hulajnodze z Rezerwatu Zepsutych Zegarków. Niebawem wrócę do tego momentu, a na razie